Fluchtkogel (3497 m) – antyrelacja



Ja i Asia zmierzamy w kierunku widocznego po lewej Fluchtkogel. Autorem tego świetnego zdjęcia jest Tomek Liebert.



Tuż przed wschodem słońca



Widoczny krzyż na szczycie, a przed Asią wspomniana tyczka z tabliczką



Dziku leży nieżywy na kamieniu. Zdjęcie w sam raz na „naszą klasę”



Dziku na szczycie



Asia na szczycie

Relacja jak najbardziej autentyczna, pokazująca „uroki” wędrówek powyżej 3 tysięcy metrów. Opisuję tu jedynie dzień 3-ci, kiedy to obudziłem się z paskudnym samopoczuciem, zupełnie odbiegającym od tego, jak czułem się w dniu 1 i 2. Tak to właśnie w górach jest, raz lepiej, raz gorzej. Życie. W dodatku nie mam pomysłu, co z tym zrobić. Bo gdyby to była reguła, że gorzej jest po paru dniach to można by zarządzić wtedy odpoczynek (kosztem szczytu). Ale przecież czasem pierwszego dnia najbardziej się męczę, a kolejne fruwam. I bądź tu mądry.

13.11.2022

Pobudka znów o 5-tej. Próbuję zjeść śniadanie, które zupełnie mi nie wchodzi. Potem zbieramy się całą trójką do wyjścia i schodzimy na lodowiec. Tutaj się rozstajemy z Tomkiem, który zamierza samemu przemierzyć lodowiec i zejść do schroniska Hochjoch-Hospitz. Zamiast Fluchtkogela zdobędzie dziś dwa inne 3-tysięczne wierzchołki, położone powyżej schroniska.

Ja i Asia podążamy w świetle czołówek w kierunku naszego celu. Powierzchnia lodowca wydaje się równa, z minimalnymi zafalowaniami.
Rozpatruję dwa warianty:
1. Albo jest to złudzenie i w rzeczywistości szczelin nie ma, lub są ukryte bezpiecznie głęboko pod śniegiem.
2. Albo te zafalowania to ułożone równolegle do kierunku naszego marszu zarysowane szczeliny.

Bezpieczniej jest założyć to drugie. Gaszę czołówkę, żeby w naturalnym świetle wczesnego świtu wychwycić cienie i nierówności terenu i staram się trzymać blisko krawędzi potencjalnej szczeliny. Wyobrażam sobie to tak, że wolę przejść blisko klatki z lwem, niż przedzierać się ślepo przez krzaczory, gdzie może siedzieć drugi drapieżnik.

Jeszcze przed końcem lodowca rezygnuję z prowadzenia, bo choć śnieg jest znośny i nie zapadamy się bardzo, to jednak jest to ten dzień, kiedy jestem zdolny jedynie patrzeć się w ślady i przebierać nogami. W ten sposób dochodzimy do wysokiej tyczki z umieszczonym na czubku napisem brzmiącym mniej więcej tak: „ze względu na zanikanie pokrywy lodowej tej drogi już nie ma, proszę iść sobie gdzie indziej”. Ja jednak oceniam teren przed nami jako taki, który nie powinien nastręczać problemów.

I faktycznie, bez zakłóceń docieramy do wysokości około 3200 metrów. Tutaj kładę się na skałach, telepię się z zimna, zwijam w skurczach żołądka, w końcu wymiotuję. Bełkoczę do Asi: „zrób mi zdjęcie”, nikt nie wie po co, ale przy wysokościówce to akurat nic u mnie niezwykłego (do dziś pamiętam jak w 2008 pod szczytem Blanca zmulony totalnie

zdjąłem koszulkę i powiedziałem do kolegi: „zrób mi zdjęcie, ale takie na naszą klasę”). Asia mówi: „wiesz Dziku, zawsze jest opcja, że można zawrócić”. Zerkam, że szczyt tak blisko i mówię „nie no, idziemy”.

Doszuraliśmy do szczytu zaledwie 2 godziny od wyjścia ze schronu. Ja wciąż nie jem i nie piję co nie zwiastuje poprawy. Nie mam ochoty nawet spojrzeć na książkę wpisów. Potem robię Asi zdjęcia zapominając, że wcześniej przełączyłem aparat na manual, więc żadne zdjęcie nie wychodzi. Generalnie zdycham i chcę już być na dole.

Schodzimy szybko do wcześniej wspomnianych skał, ja znów na nich siadam, a potem się kładę, a potem znów rzygam. Wstaję, wiążemy się i schodzimy na lodowiec, gdzie po własnych śladach suniemy w kierunku schronu. Najgorsze co mnie czeka, to podejście chyba ze sto metrów w górę pod drzwi winterraumu. Na tym etapie sam siebie zmuszam do stawiania każdego kolejnego kroku. Jeszcze tylko zdjąć raki, jeszcze parę schodków, jedne drzwi, drugie drzwi i trzecie. Zdejmuję jedynie buty i już leżę w śpiworze. Jest 10-ta, więc ogarnęliśmy to w niecałe 4 godziny. Budzę się dopiero o 12-tej.

Jeść i pić zacznę dopiero popołudniu w schronie Hochjoch-Hospitz (2413 m). A gdy dojadę wieczorem dnia następnego do domu zerkam w lustro i załamuję ręce. Jest jakby 80% mojej objętości. Mięśnie zniknęły, a z lustra patrzy na mnie „suchmielec” (określenie, jakie zapamiętałem z dzieciństwa). Aktywny tydzień sprawił, że znów dobiłem do wskazań wagi z połowy liceum. Może jednak wyjazd w Alpy kilka dni po przebiegnięciu półmaratonu to nie był najlepszy pomysł? Kurczę, no nie wiem, życie jest takie krótkie!

PS. Fluchtkogel był moim 17-tym zdobytym szczytem z listy 33 najwyższych szczytów Austrii, zatem minąłem półmetek.